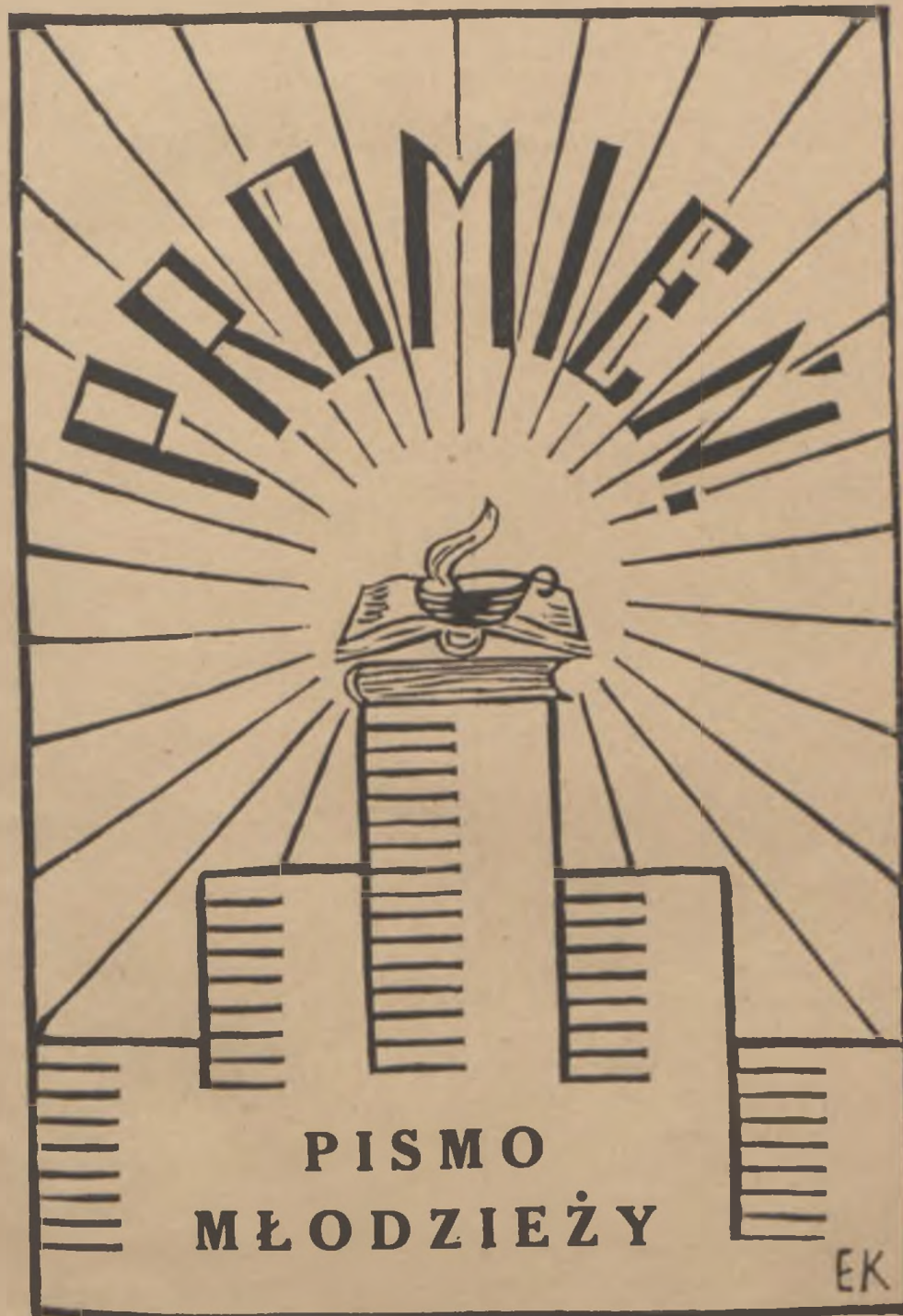




Silniejszy jestem,

Promieńcięższą podajcie
mi zbroję.Miesięcznik Młodzieży Gimnazjalnej w Ostrowie Wlkp.
nakładem T. T. Z-u

Kierow. wydawnictwa:

St. Hoffmann

Redaktor odpowiedzialny:

Prof. Stanisław Komeza

Redaktor naczelny:

Józef Rajski

Cena 30 groszy**Listopad.**

W miesiącu listopadzie obchodzimy zwykle dwie rocznice: listopad 1830 i listopad 1918 roku. Obie są nam drogie, obie równie wielkie. Pierwsza przypomina nam wysiłki i poświęcenie naszych pradziadów, którzy porwali za broń, by wywalczyć Polsce wolność, swobodę i niepodległość. Walczyli mężnie, lecz bezskutecznie. Na nic zdaly się ich trudy, na nic krew przelana. Polski nie oswobodzili, lecz więzy nawet zacieśnili. Ale przecież nie wszystko przepadło, bo pozostała po nich chwalebna pamięć, siebie zaś ozdobili aureolą męczeństwa. Ojczyzna ich wyniosła na swoje ołtarze i zaliczyła w poczet bohaterów i męczenników za sprawę narodową. Rok 1918 był o wiele szczęśliwszy, bo dał owoce wysiłków i trudów naszych ojców i braci. Powstała z grobu Polska, w którym półtora wieku przeleżała. Powstała młoda opromieniona jasnością i dumna z swoich synów. Ciało jej jednak nie było nieskalane, lecz przeciwnie miało wiele blizn, znaków i ran — pozostałości po niewoli i wojnach. Nosilo ślady pruskiego knuta i rosyjskiej, kozackiej nahałki, ślady bratobójczych walk i ciosów zadanych przez niewiernych synów. Na bładem obliczu, obok wyciśniętego piętna męczeństwa, igrał uśmiech radości, zadowolenia i dumy. Rany błyszczały podobne stygmatom, a na głowie opromienionej aureolą widniała korona cierniowa. Sprawdziły się proroctwa wieszczów narodowych: Polska zmartwychwstała! My więc, w obecnym miesiącu mamy uczcić tę rocznicę, mamy oddać hołd tym wszystkim, którzy do Zmartwychwstania Polski się przyczynili, którzy zdrowie, majątek, a nawet życie dla Niej poświęcili. Uczcić ich musimy, bo bezwarunkowo nato zasłużyli.

Lecz nie tylko cześć od nas oni domagają się, nie tylko należnego hołdu ale i przyrzeczenia przysięgi, że nie pozwolimy sobie już nigdy... nigdy niepodległości, wolności i swobody wyrwać. Chcą mieć to zapewnienie, że trud ich nie był daremny, a owoc tylko krótkotrwały. Oni żądają od nas zrozu-

mgr inż. Czesław Antoni

mienia i szacunku dla swoich trudów, wysiłków, krwi przelanej, a to dać im możemy tylko przez zapewnienie, że niepodległości więcej nie damy sobie wyrwać, że nie przyjmimy już nigdy obcego jarzma. Nie wątpię że przed złożeniem takiego przyrzeczenia, takiej przysięgi nie cofnie się nikt, gdyż wszyscy rozumiemy dobrze, ile nas Polaków kosztowało odzyskanie niepodległości. Niema prawie piędzi ziemi niezroszonej krwią, niema prawie rodziny, któraby w walkach za sprawę narodową nie straciła kogokolwiek. Wszyscy zasłużyliśmy się około tej sprawy, jedni więcej, — drudzy mniej, niema jednak takich, dla których ta sprawa jest zupełnie obojętną. Wszyscy więc stanąć musimy silnie, ramię przy ramieniu, na straży, a w razie potrzeby ofiarować nawet swoje życie.

Naczelny redaktor.

Praca jednostki a społeczeństwo.

Nawiązując do artykułu kol. Rajskiego z ostatniego nr. „Promienia”, pragnę dorzucić kilka uwag na temat stosunku pracy jednostki do społeczeństwa. Nie będzie to, sądzą, od rzeczy, bo przecież ciągle jeszcze mało kto podobnemi sprawami zajmuje się, trzeba więc, by nietylko nieliczna grupa, lecz cała dzisiejsza młodzież skierowała swą uwagę na to zagadnienie, by wreszcie zrozumiała, czem ona sama jest dla społeczeństwa, a czem być może.

W parze z ewolucją pojęć społecznych idzie ewolucja praw jednostki, oraz zmienia się stosunek tej ostatniej do społeczeństwa. Jeżeli weźmiemy pod uwagę dalsze wczoraj dziejowe, zauważymy, że zwarstwianie społeczeństw europejskich, które dopiero półtora wieku temu zaczęły się demokratyzować, zaciemniało wysoce stosunek jednostki do społeczeństwa i nie nakładało jej konkretnych obowiązków. Stan rzeczy zmienił się po rewolucji francuskiej. Droga stopniowego rozszerzania praw jednostki nakładano na nią i pewne obowiązki, proporcjonalne do tego, co zyskiwała. Zwiększały się wymogi społeczeństwa względem niej, a stosunkiem wzajemnym, między temi dwoma czynnikami społecznymi, interesowano się coraz bardziej, aż ustalono pewne zasadnicze ramy w granicach których winien obracać się stosunek jednostki i jej pracy do społeczeństwa. Zastanówmy się nad tem, jak ramy te winny się przedstawiać.

Jednostka jest częścią społeczeństwa, a jako taka nie może żyć zupełnie odosobniona, lecz musi utrzymywać

z niem pewien związek, któryhy, dając jej pewne korzyści, zobowiązywał i ją nawzajem do pewnych świadczeń na rzecz tego społeczeństwa. Musi więc między jednostką a społeczeństwem istnieć pewien związek, pewna ciągła zależność, pewna wymiana świadczeń społecznych. Jednostka sama nie ostanie się, winna ona pojąć, jak zauważył kol. Rajski, że „chodząc luzem załamać się i zgiąć musi, bo w masie tylko siła i potęgą”.

Zatem jednostka dla społeczeństwa pracować musi. Zachodzi jednak pytanie, jaką winna być ta praca, by mogła dać społeczeństwu pewne korzyści. Odpowiedź jest prosta: by praca jednostki mogła być pożyteczną całemu społeczeństwu, musi być wykonywana: 1) sumiennie, 2) z zamiłowaniem, 3) z chęcią dorzucenia cegiełki do budowy gmachu naszej mocy i potęgi państwowej, z chęcią przysporzenia społeczeństwu nowej wartości, wzbogacającej je i wzmacniającej.

Powiedziałem że trzeba wykonywać ją sumiennie. Jakież rezultat przyniesie nam praca zbyta tylko, odrobiona jak z musu, praca, o którą my sami nie staramy się by była owocną? Nam nie da żadnych owoców, a cóż dopiero społeczeństwu!?

Trzeba pracę dobierać według uzdolnień i zamiłowań, szukać blisko siebie, bo tylko we własnem, dobrze sobie znanem środowisku można pracować produktywnie.

Tylko tak pojęta praca przyniesie nam plon, a przecież o ten plon właśnie chodzi. Społeczeństwo całe może czegoś owocnego dokonać tylko przez zbiorowy wysiłek. Okazja takiego wysiłku o ile nadarza się, jest uwarunkowana ustosunkowaniem się do niej poszczególnych jednostek. Wszelki zatem dorobek społeczny jest wprost zależny od pracy tych, którzy społeczeństwo tworzą.

Tak należałoby pojmować pracę jednostki i jej stosunek do społeczeństwa, tak się jej jednak często nie pojmuje. Pomińmy pracę szarą, codzienną, bo przy jej wykonywaniu niemal nikt dalej myślą nie sięga, jak do korzyści osobistych, możliwych dlań do wyciągnięcia z niej, spójrzmy natomiast na naszą tak zwaną „pracę społeczną” z szkolnych czasów. Popadamy przy niej albo w krańcowość, tyle pracując, że właściwe nasze obowiązki, których spełnianie też przecież jest pewnego rodzaju pracą, niemniejszą i niegorszą od innych prac, bo nas samych dla narodu i państwa urabiająca, z nas tworząca jego moc, ulegają zaniedbaniu, nie doceniamy ich i się nimi nie zajmujemy. Właściwie to wyróżnić możemy jeszcze jeden rodzaj pracy — językiem. Tak, to też praca... ale w mniemaniu tych jednostek, które do innej nie są zdolne.

A teraz wynik tych rozważań: Ponieważ nie możemy narazie pracować tak, jak nasi starsi, samodzielni bracia i ojcowie, pracujemy przynajmniej w miarę sił i możliwości w szkole. Mamy do wyboru kilka organizacji szkolnych, one nas wprost zapraszają do pracy, pracy tej potrzebują, a więc pracujemy, ale tak, by nasza praca pokrywała się z wskazaniami poprzednio podanymi. Przecież tworzymy też pewnego rodzaju społeczeństwo gimnazjalne, zatem nasza praca da nie tylko korzyści nam, lecz i jej. A ono jest częścią przyszłego społeczeństwa polskiego, ono ma kiedyś stać na czele narodu i rządzić państwem, ono ma wychowywać znów nowe pokolenia, ma im służyć za wzór, za przykład. Tym wzorem my sami więc mamy być, my których teraz już trzeba do pracy napędzać!

Powiecie Koledzy, że czasu wam na pracę społeczną brak, że wasze warunki nie zezwalają na nią etc.

Odpowiem wam: To albo prawda, albo fałsz. To drugie tylko potępić możemy, cóż zaś czynić, gdy zajdzie to pierwsze? Nie trzeba spuszczać rąk!

Jeżeli nie możecie pracować tak, jak inni, pracujcie tylko nad sobą samymi, nad Waszymi charakterami. Tej pracy nikt wyrzec się nie może, tę pracę każdy bez względu na to, czy społecznie pracuje, czy nie, musi wziąć na barki.

Ojczyźnie potrzeba tylko charakterów mocnych, zdecydowanych, charakterów niezdolnych do kompromisów, do ustępstw, trzeba jej ludzi o wyraźnym obliczu ideowym, mocnych duchem i ciałem. Nie możecie dojść do tego inną drogą, jak tylko pracą nad sobą. Praca społeczna to tylko jeden z środków tego samourabiania.

Przy tem wszystkim pamiętać musimy i o pewnym, dość ważnym dla nas, młodych, czynniku, o przyzwyczajeniu. Im lepiej nauczymy się pracować z myślą o społeczeństwie teraz, z młodości, tem lepszymi będziemy później pracownikami na niwie społecznej, tem więcej przysporzymy kiedyś korzyści narodowi i państwu i do ich mocy przyczynimy się.

Czyż trzeba nam czegoś więcej?

L. Pankanin.

Historja muzyki polskiej.

Język łaciński, obowiązujący w liturgji kościoła rzymskiego, mniej zrozumiały dla narodów słowiańskich, tworzył ważną przeszkodę dla rozwoju pieśniarstwa polskiego, kościelnego. Dopiero w XIII wieku, kiedy władze kościelne za-

częły zalecać modlitwy w języku ojczystym, wtedy powstały t. zw. kierlesze urobione z Kyrie elejson i pieśń religijna, a zarazem bojowa „Bogarodzica”.

Autorstwo tej pieśni przypisują Franciszkaninowi Dogułałowi, początek swój miała w murach klasztoru starosądeckiego. Melodia „Bogarodzicy” składa się z motywów w charakterze gregorjańskim, w formie zaś ma pierwiastek pieśni ludowej. „Bogarodzica” dała inicjatywę do stworzenia innych pieśni. Z tych pieśni sięgających mniej więcej XV wieku zachowały się następujące jednogłosowe:

- 1) „Pieśń na Zwiastowanie Panny Marii”.
- 2) „O najdroższy kwiatusku” — Pieśń tą wydano w Krakowie w XVI wieku.
- 3) „Przez Twe święte Zmartwychwstanie” i „Chrystus zmartwychwstan jest”.
- 4) „Jezusa Judasz sprzedał za pieniądze”. Jest to pieśń ludowa wydana w XVI w. na 4 głosy Siebeneicher w Krakowie.

Najdawniejsi kronikarze wspominają o istnieniu w Polsce muzykantów zawodowych zwanych igrkami, ludcami, skomorochami, wesoluchami itp. Gall wspomina, że na dworze Bolesława Chrobrego i Krzywoustego muzyka towarzyszyła w czasie różnych uroczystości. Kadłubek podaje, że w roku 1194 z powodu śmierci Kazimierza Sprawiedliwego odbyło się w Krakowie widowisko sceniczne z muzyką. — W tym czasie duchowni urządzali stale przedstawienia treści religijnej. Z czasem w wieku XIV, gdy ascetyzm osłabł, zaczęto urządzać przedstawienia treści świeckiej, komicznej nieraz. Dwory otaczały się muzykantami, powstały kapele miejskie, a Kraków był środowiskiem życia artystycznego. Na dworze Jagiełły zaznaczyły się następujące imiona: śpiewaka i lutnisty Handslika, flecisty Lincza i artysty Hopanasa.

Praktyka muzyczna w Polsce szła zawsze śladami ewolucji muzyki zachodniej. Na niwie teoretycznej jednak Polska nie uwydatniła samodzielnej działalności. Zainteresowanie się teorią muzyki zaznacza się dopiero w XV wieku, kiedy na Wszechnicy Jagiellońskiej wprowadzono wykłady teoretyczno-muzyczne. Wykłady te opierały się przeważnie na systemie Boetisza, którego dzieło „De musica” zawierające opis badań akustyczno-matematycznych, było wzorem mądrości w tej dziedzinie.

W porze z rozwojem wielogłosowości na zachodzie szedł rozwój wielogłosowej muzyki w Polsce. Najdawniejsze zabytki muzyki wielogłosowej w Polsce sięgają pierwszej połowy XV wieku. Są to: trzygłosowa pieśń kościelna „Chwała Tobie Gospodynie” oraz cały zbiór różnych kompozycji mu-

zycznych i kazań łacińskich, zachowany w bibliotece Ordynacji hr. Krasieńskich w Warszawie. Na nich widnieje podpis Mikołaja z Radomia. Są to następujące utwory:

- 1) hymn „Cracovia civitas” do słów Stanisława Ciołka.
- 2) pieśń „Hystorigraphi aciem”,
- 3) „Magnificat”
- 4) Część mszy „Glorja...”
- 5) Część mszy „Credo”
- 6) „Et in terra pax”

Utwory Mikołaja z Radomia stały na wyzynie ówczesnej sztuki muzycznej na Zachodzie. W XV wieku Polska nie wydała tak bardzo wielu kompozytorów, jednak w zaciśnięciu, na dworze królewskim, przy kościołach i klasztorach utrzymywano organistów, którzy pracowali. Dowodem tej pracy stały się epokowe zabytki muzyczne: tabulatura organowa Jana z Lublina z roku 1540 zawierająca zbiór cennych dzieł muzycznych oraz tabulatura klasztoru św. Ducha w Krakowie z roku 1548. Kultura muzyczna w Polsce musiała stać wysoko, skoro znakomity kompozytor niemiecki Henryk Finck zawdzięcza Polsce swe wykształcenie muzyczne. — Pod koniec wieku XV wyłania się postać bardzo wybitnego kompozytora polskiego, Mikołaja z Krakowa. Po nim pozostała większa ilość utworów. Są to: motety, antyfony, oddzielne części wazy, preludja: pieśni nabożne „Wesel się, polska korono” i „O przenajślawniejsza Panno” „Aleć nademną Venus” i liczne tańce włoskie, hiszpańskie, niemieckie i polskie. W ówczesnych tańcach polskich, nie mających jeszcze bardzo typowych cech narodowych, znajdujemy następującą formę: początek w tempie wolnym, zwany „chodzonym” i część następna w tempie szybkim, zwana „gonionym”. W tej formie pojawił się taniec polski u Mikołaja z Krakowa i innych kompozytorów, aż do czasu wyrobienia się formy poloneza i mazurka.

Rozkwit muzyki polifonicznej w Polsce poprzedzony był przygotowaniem na niwie teoretyczno-muzycznej, w których udział przyjmowało wiele wybitnych jednostek. Na początku XVI wieku w Krakowie powstałe drukarnie muzyczne (Andrysowicza Siebeneichera, Vietora i Wierzbęty) popularyzowały u nas teorię muzyki i dzieła różnych kompozytorów.

Najbardziej cenną dla rozwoju muzyki polskiej działalność szerzył w początkach XVI wieku najwybitniejszy teoretyk i pedagog polski, Sebastian z Felsztyna. Był on założycielem polskiej szkoły polifonicznej. Ze szkoły Felsztyńskiego wyszło wielu wybitnych muzyków polskich jak: Wacław z Szamotuł i Marcin Leoplita. Poza działalnością praktyczną Felsztyński wydał kilka prac teoretycznych jak np. „Opuscu-

lum musices". W tym też czasie pojawiła się wydana w Krakowie cenna praca Marcina Krommera (1534 r.) p. t.: „De musica figurata”.

Na takie ożywienie ruchu muzycznego w Polsce wpłynęła niewątpliwie reformacja, która swe piętno zresztą wycisnęła w całej Europie. Zamiłowanie do nauk i sztuk pięknych przeszło szybko bardzo z Zachodu do naszego kraju, rozpoczynając najświetniejsze jego dzieje — wiek złoty.

W roku 1543 król Zygmunt Stary założył przy kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu Kapelę Rorantystów. Było to kolegium kapłanów - śpiewaków w składzie: 1 przełożony (dyrygent) 9 prebendarjuszów (śpiewaków) i 1 kleryk. Zadaniem Rorantystów było śpiewanie polifonicznych dzieł najcelniejszych polskich i obcych kompozytorów. — Kapela Rorantystów była pierwszą polską instytucją, stworzoną dla krzewienia kultu kościelnej muzyki polifonicznej w najlepszym stylu.

Muzyka świecka miała swe ognisko w królewskiej kapeli nadwornej, w której kadry zaciągali się najwybitniejsi muzycy polscy i obcy.

W kapeli królewskiej u Jana Klausa, w r. 1555 kształcił się Mikołaj Gomółka. Gomółka pozostawił jedyne, wiekopomne dzieło p. t.: „Melodiae na Psalterz Polski przez Mikołaja Gomółkę uczynione, przekładania Jana Kochanowskiego. W Krakowie w drukarni Łazarzowej; roku Pańskiego 1580”. Jest to zbiór 150 psalmów, napisanych na chór czterogłosowy „a capella”, ofiarowany biskupowi krakowskiemu, Piotrowi Myszkowskiemu.

Współczesnym Gomółce jest wielki i genialny muzyk rzymski Giovanni Pierbenedi da Palestrina, kapelmistrz chóru watykańskiego i kapeli papieskiej. Porównując Gomółkę z Palestriną nasuwa się inne porównanie: muzyka Palestriny wiąże się niejako z nieskończonymi linjami wielkiej gotyckiej katedry, melodie zaś Gomółki — to cicha modlitwa ludu polskiego, zgromadzonego w prostym drewnianym kościółku wiejskim...

Duże zasługi dla rozwoju muzyki polskiej położyli też inni kompozytorowie XVI wieku. Byli to:

Krzysztof Borek — dyrektor kapeli Rorantystów. Napisał msze na tematy hymnu „Te deum landamus”.

Marcin Wartecki był od roku 1564 - 1568 nadwornym śpiewakiem Zygmunta Augusta. Jan Brandt, który wydał zbiór pt.:

„Pieśni łacińskie i polskie z nutami muzycznymi.

Tomasz Szadek, który pozostawia 3 msze:

1) na temat kolędy „Dies est laetitiae”.

2) na temat pieśni z XVI w. „Piis ne me peult venir”.

3) „Salva Sancta Porens” i motet „In festo annuntiatio-

nis B. M. V. Marcin Paligonjusz zaznaczył się dziełem „Rorate coeli” na pięć głosów.

Zamiłowanie królów polskich do sztuk pięknych było znamienne. Interesowali się muzyką, lubili skupiać na swych dworach wybitnych kompozytorów, wirtuozów i śpiewaków z kraju i zagranicy. Muzyka świecka więc rozwijała się b. dobrze. W końcu XVI w. i na początku XVII zaczęły się coraz bardziej pojawiać tańce polskie. Od dawnego „chodzonego” powstał polonez, zaś od „gonionego” — mazur.

Rozpowszechnienie gry na lutni i różnych innych instrumentach wywołuje też duży ruch w ich wyrobie. W drugiej połowie XVI wieku powstaje w Krakowie pracownia instrumentów muzycznych Bartłomieja Klejchera. Gra skrzypcowa musiała być też rozwinięta, skoro z tych czasów przechowały się do dziś świetne instrumenty Groblicza i Dankwarta.

W następnym artykule omówię III. epokę harmoniczną. Dzieje muzyki polskiej wieku XVII i XVIII.

Dalszy ciąg nastąpi.

Zbigniew Stawowy.



KĄCIK

HARCERSKI

pod redakcją

„Wielkiego Węża”.

„Siwemu Sokołowi”

W 20-lecie pracy harcerskiej dowody miłości, szacunku i wdzięczności oraz podziękę za tak długie przewodnictwo i kierownictwo, za prowadzenie „sokolim lotem” po rodzinnej ziemi, za naukę poznawania i kochania ojczyźnych zagonów i spuścizn, z życzeniem jak najdłuższego dalszego kierownictwa i przewodnictwa w przemierzaniu harcerską stopą kraju oraz błogosławieństwa Bożego nadal w pracy wychowawczej młodzieży, a szczególnie harcerskiej

ślą

HARCERZE.

Słuchajcie !!

Lat temu dwadzieścia, 2-go listopada nasz obecny Komendant Hufca — „Siwy Sokół” złożył przyrzeczenie. Od tego czasu minęło dwadzieścia długich lat pracy harcerskiej. Najpierw pięć lat pracy tajnej, konspiracyjnej, za którą można było długi czas przesiedzieć w więzieniu, a później już w oswobodzonej Polsce. Prócz tego widziały go, jako kapełana wojskowego, nasze rubieże wschodnie, gdzie w roku 1919 przez cztery miesiące przebywał. A potem gdy nie była potrzeby przygotowywania młodzieży do walk o niepodległość, lecz wychowywania jej na dobrych obywateli - Polaków, zajął nasz „Siwy Sokół” i to stanowisko, na którym dotychczas pozostaje. Widzimy go, że od piętnastu lat przez długi rok szkolny naucza i wychowuje, a w wakacjach urządza wędrowniki po Polsce. Sześć razy widziały go Tatry: cztery w lecie i dwa razy w zimie; trzy razy w lecie widziały Go Gorgany i południowo-wschodnie krańce Polski. trzy razy Wileńszczyzna i trzy razy Bałtyk. Zawsze wędrował otoczony gromadką młodzieży, której wskazywał piękno i urok polskiej krainy. Uczyl ją jak szanować zabytki i relikwie narodowe, jak kochać to wszystko, co nosi piętno polskie i jak szczepić i roznosić kult świętości narodowych i tradycję. W obecnym miesiącu Dostojny Jubilat obchodzi swój jubileusz. Jako wiązkę życzeń zanieśmy Mu nasze młode serca, tętnące gorącą miłością, wdzięcznością, powierzmy Mu nasze dusze, by mógł je urabiać i w tem znaleźć zadowolenie. Intensywną pracę harcerską i zapalem pokażmy Mu, że oddaliśmy się duszą i ciałem tej idei, która Mu już dwadzieścia lat przyświeca. Chciejmy więc wraz z Nim iść po drodze prawa i obowiązku harcerskiego i nigdy z niej nie zbroczyć.

Wielki Wąż.

Sokole!!!

Z okazji Jubileuszu 20 - lecia Pracy
Harcerskiej „Siwemu Sokolowi
poświęcam.

*Druhu Komendancie ! Siwy Sokole !
Czy ty pamiętasz te lata minione,
Kiedy raz pierwszy wybiegłeś na pole
Poznawszy idee, dziś już spełnione ?!*

*Czy Ty pamiętasz te chwile przeżyte
W gronie kolegów z równym ideałem,*

*Na błoniach i w lasach często przebyte
Te chwile, w których harcowałeś z zapalem ?!*

*Czy Ty pamiętasz chwile twórczej pracy,
Spokojnej już przed wojną, a krwawej potem,
Pomnąc zasady, że niema kołaczy,
Gdzie trud i praca nie leżą pokotem ?!*

*Czy Ty pamiętasz jakżeś do nas przyszedł,
By wziąć nasz hufiec na swe barki mężnie,
Jak dbałeś o to, by nikt z nas nie wyszedł,
Z drużyn harcerskich nie wzmocnion potężnie ?!*

*Czy Ty pamiętasz Twe sławne wędrówki ?
Morze, Karpaty, doliny i góry,
Jakżeś dla siebie nie szukał wymówki,
Jak to przy ogniu śpiewały nam chóry ?;*

*A Trzebaw, Ignalino i Sakowszczyznę,
Podswile, Obabie i Królewczyszynę,
Pomorze, Litwę, Pieniny, Podole,
Czy to pamiętasz, Siwy nasz Sokole ?!*

*Pamiętasz !!! Lecz my Ci to wspominamy !
My, których masz tyle co drzew ma las.
Tego na chwilę nie zapominamy,
Bo dwadzieścia lat pracy — to długi czas !!!*

Roztropny Rys

Akcja letnia druż harc. im. T. Zana.

W ubiegłych wakacjach drużyna harcerska im. T. Zana zorganizowała obóz w Podswilu woj. wileńskim. Obóz trwał dni 33 razem z podróżą, od 19 czerwca do 22 lipca. Uczestników było 33. Obóz wypadł bardzo dobrze, na co złożyło się: idealne miejsce obozowania, umiejętna organizacja, zgranie się i jakość uczestników. Obóz był rozbity nad dwoma pięknymi jeziorami, na pięknej polanie w lasku. Program był tak ułożony, że dawał uczestnikom odpowiednią ilość czasu i do pracy i do odpoczynku, skutkiem czego obóz spełnił w zupełności swe zadanie. Celem zaś jego było: wychowanie harcerskie, praca społeczna i wypoczynek uczestników. Bardzo przychylnie ustosunkował się do obozu tamtejszy K. O. P. W drodze powrotnej uczestnicy zwiedzili Wilno, Troki i Werki. Skład kierownictwa był następujący:

Opiekun — ks. Marjan Finke, komendant — dh. Franciszek Zieliński, obożny — dh. Kamiński Kazimierz, gospo-

darz — dh. Kamiński Czesław i instruktor — dh. Rajski Józef.

Pozatem w sierpniu kilku druhów uczestniczyło w wędrówce dha „Siwego Sokoła” po Wybrzeżu.

Roztropny Ryś

Druż. im. T. Zana.

Z początkiem roku szkolnego drużyna przeszła zupełną reorganizację, a to z powodu tego, że harcerze klas VII i VIII odpłynęli do „Gromady Starszych”. Ponadto nastąpiła zmiana kierownictwa; gdyż na miejsce dotychczasowego drużynowego Franciszka Zielińskiego, ustępującego na własną prośbę mianowany został Kamiński Kazimierz. Praca rozpoczęła się dnia 26 sierpnia odprawą drużyny. Do tego czasu postępuje ona zupełnie normalnie. Po ułożeniu całorocznych programów odbyło się do tego czasu: 4 zbiórki drużyny, 10 zebrań R. D. i 32 zbiórki zastępów.

W programie całorocznym drużyny oprócz wielu wytycznych w stosunku do pracy wewnętrznej, znajdują się również takie punkty, jak zorganizowanie kursu dla zastępowych, uroczysty obchód 15-te lecia drużyny w kwietniu 1934 roku, zorganizowanie obozu w przyszłe wakacje letnie.

Praca w zastępach postępuje zadowalająco. Z wytyczonych programów przerobiono już prawie sygnalizację i terenoznawstwo. Dokonano otwarcia świetlicy, która jest czynna w każdy poniedziałek, piątek i sobotę. W miesiącu październiku ponad to rozwinięto w drużynie szeroką kampanję oszczędnościową.

Ogłoszono konkurs między zastępami, który dał stosunkowo dobre wyniki. W miesiącu październiku wizytował drużynę dh. Zajda z Poznania.

Roztropny Ryś

Słuchajcie!!

Słuchajcie!!

Wydaliśmy „Jednodniówkę” z okazji 20-lecia pracy harcerskiej ks. prof. harc. Lecha Ziemińskiego. Bardzo ciekawa i ładna. Zawarta w niej jest cała historia harcerstwa ostrowskiego. — Nabyć ją można u każdego członka naszej gromady.

Gromada Starszych Harcerzy



Warcholstwo.

(Fragment sejmu)

Weszli.

Dumni... butni... bezczelni,
Przeszłością nieskazitelni —
Warcholi...

Usiedli.

Zrazu tylko spokojnie... poważnie
Rozglądali się wokół uważnie.
Później zcicha rozmawiać zaczęli,
Potem mówiąc już głośno krzyczęli,
Dowodzili... przeczyli... zbijali —
Wszędzie słysząc ich było na sali.

A gdy przyszło do walnej rozprawy,
Gdy przegrali znów — mimo swej wrzawy,
Wzięli hurmem się, razem i gburnie
Wyszli — niosąc warcholstwo swe górnie.
W swą opiekę ich wzięła matrona,
Piętnem „Głupia” na czele znaczona.
W swą opiekę ich wzięła... pieściła,
Dumnie synów ku drzwiom prowadziła,
A prowadząc — tak zdała się tulić:
— „Zaufajcie swej mądrej matuli!” —

Wyszli.

Lecz nie wyszło wraz z nimi ich lichy,
Bo choć było na sali już cicho,
Choć nie było już krzyków, swawoli, —
Echo jednak dźwięczało dowoli;
Znać, że matrona więcej zabrać winna
Pod swoje skrzydła, synów swoich drogich,
Lecz ona biedna i temu niewinna,
Ze marnotrawnych zastęp taki mnogi.
Nie wszyscy matką ją wyznawać chcieli,
Jedni nie mogli — drudzy znów nie śmieli;

Najodważniejszych tylko garstka mała,
Wiernie się łańdów matki swej trzymała,

I wraz z nią wyszła; a ci, co zostali,
Chociaż matronie przysięgę złamali,
W jej barwach w szranki szermiercze wstąpili,
Dzielnie walczyli i dzielnie się bili,
Aż zamierzony plan swój wykonali:
— Ł Glupotą — matką wszystkich pokonali. —

I mądrych ludzi zwyciężyli głupi,
Bo koło głupich — głupi rad się kupi.
Głupich jest kupa — mądrych garstka mała —
Wszystkim rozum natura nie dała!
A że część większa stronę głupich miała —
Toż to za głupim biegnie zgraja cała!
Głupiec i błazen zawsze kupę wiedzie,
Że jest inaczej — czyż mi kto dowiedzie?!

Glupoty zwycięstw na świecie jest mało,
Ale są przecie — bo i to się działo,
Co w tym tu wierszu skreślone zostało.
Kiedy się działo... gdzie... kto jaką stronę
Był, tego nie zechcę wyjawić nikomu.
Jeśli kto zgadnie, zgłębi tajemnicę —
Pozna czas... miejsce... właściwe oblicze.

Józef Rajski.

Mój wróg.

Idzie... zgryźliwy, ponury,
mój wielki wróg —
bez serca, bez duszy, chory...
— mruk.

W złości się wije
a z ocz bije
moc przeklęta,
co go rozstraja
i z ciszy wytrąca
To go zabija.

Wkoło się kręci,
by życie mi truć.
Przyjaciół mych nęci
podszeptami,

*by nastrój psuć
— gniewami.*

*Lecz serce me —
szczęśliwe —
rozkosznie się śmieje ;
z podłości,
złości,
bo mych przyjaciół
— nikt mi nie zbuntuje!!*

Hihahi Limpopo.

Skarga.

Odeszłaś mamó...
Dotąd Cię widzę w mych snach,
Czuję jak codzień rano
Z mym snem odchodzisz mamó
I widzę Twe oczy we łzach...

Czasem w jesienny wieczór
Nabrzmiały deszczem i mgłą,
Snujesz się tuż, tuż przymnie...
Nie strach mi wtedy chmur
Przemokłych, ani łzą
Nie płaczę za Tobą, bo ciemnie
Tego wieczora rozjaśniasz mi Ty...

Wczoraj widziałem Cię znów
We śnie i znowu wspomnienia
Obiegły mnie...
— — — Wy płynęłaś cichuteńko z cienia,
Stałaś i prosiłaś : przyjdź jutro na grób...

Przyszedłem... smutno Ci tu mamó
Wśród tych kamieni, mogił wiecznego milczenia,
Wśród drżących deszczem drzew,
Wśród zmarłych, co jednak kiedyś, dziś nie-
[żywi wstaną

Na głos Boga zew!?!

Chciałbym się modlić... nie mogę...
Tylko mi w oczach błyszczą łzy
Żalu za tobą i trwogę
Czuję przed życiem, bo Ty
nie przyjdiesz więcej...
I już mnie nie uchronią

Twe prośby przed życia złem,
Ani mi będziesz bronią,
Ani mnie sercem swem
nikt nie pokocha goręcej....

M A T K O...

Leon Pankanin.

K A Ą C I K N O W E L I S T Ó W

I. nagroda.

Nocny Lot.

(Nemo)

W rogu hangaru, przy stole na którym stoi mocno kopająca lampka naftowa, siedzą dwaj mężczyźni. Jeden, śniady, drobny, o niebieskich oczach. Drugi zaś zupełnie inny. Rosły z twarzą szeroką i szczerą, w której uśmiechały się czarne oczy.

Ten pierwszy, to porucznik Jakób Poniewski a drugi Andrzej Śmigalski, także porucznik. Oba bardzo żywo rozmawiają.

— No co? odzywa się Jakób polecisz czy nie polecisz?

— Nie wiem!

— No, zdecyduj się. Wiesz, czemu nie chcę lecieć. Wiesz, że moja siostra ma ślub. Chciałbym tam bardzo już jutro być. Jak mi wyręczysz to...

Andrzej tymczasem odwrócił głowę od towarzysza i myślał. W pewnej chwili spojrzał na samoloty stojące w przeciwnym końcu hangaru. Było ich tam doniedawna czternaście. A teraz... Wczoraj zestrzelił im nieprzyjacieli aparaty Stacha i Piotra.

O Jezus! westnął cicho Andrzej a odwróciwszy się, rzekł: „Jadę”.

Północ. Gwiazdy błyszczą na niebie jak brylanty rozsypane na czarnym stole.

Przed hangarem widać cienie, które wytaczają właśnie samolot. Andrzejowi, który tu siedł, wydały się skrzydła maszyny kosą śmierci.

Ech, co tam! — mruknął — Jakbym jeszcze nie widział samolotu i na nim nie latał. Pochwili zaś krzyknął w stronę ludzi kręcących się koło aparatu:

Hej, tam! Pospieszcie się!

W parę minut później, siedział już w samolocie gotowy do odlotu. Padły jeszcze krótkie słowa:

— Kontakt!

— Kontakt!

Samolot zaczął warczeć, zrazu cicho, potem coraz głośniej. Teraz podniósł się lekko i sunął powoli nad ziemią. Nagle szarpnął się w górę i poleciał w przestworza, jak olbrzymia ćma.

Na wysokości tysiąca metrów, Andrzej odetchnął z ulgą. Jakoś lżej zrobiło mu się na duszy. Sam nie wiedział dlaczego. Może przez to, że zastąpił towarzysza, albo... Zresztą Bóg wie co? W każdym razie czuł się lepiej.

Spojrzał na zegarek. Była godzina dwunasta dwadzieścia minut. Trzeba lecieć szybciej pomyślał, zwiększając zarazem szybkość.

Leciał i marzył. Zdawało mu się, że śmigło brzęczało monotonię:

„Nabrał!... Nabrał!... Nabrał!... a linki sterowe kończyły świstem: „Cię!... cię!... cię!..”

Nagle Andrzej ocknął się i powtórnie spojrzał na zegarek. Dochodziła niedługo pierwsza. Już wkrótce powinien być nad linjami nieprzyjaciela.

„Kwatera głównego dowództwa”

Taki to napis widniał na tabliczce umieszczonej na drzwiach, przez które wchodził jakiś człowiek, ubrany w poplamiony ubiór mechanika.

Zaraz przy wejściu spotkał kaprała, do którego odezwał się: „Słuchaj no Wolf, zamelduj tam w komendzie, że zauważono krążący samolot polski.”

— Nic więcej?

Mechanik zaperzył się: „Mówię ci tylko to, idź i nie gadaj!” Tu zasalutował i odszedł w złym humorze.

Zagniewany mechanik udał się zpowrotem do żołnierzy obsługujących reflektory. Właśnie zapalili je, szukając wyżej wspomnianego samolotu.

Światło reflektorów wyglądało jak złote struny, jednym końcem zaczepione o niebo a drugim o ziemię. Struny te, ciągle się przesuwały po niebie, w tę i tamtą stronę.

No, jak tam Erich? odezwał się jeden z żołnierzy, do tego, który obsługiwał jeden z reflektorów.

Jak ma być? odrzucił zapytany — Sam przecież widzisz, że nie mogę tego przekłętego lotnika oświecić.

— Daj tylko mnie tę lampkę.

— Ano bierz, jak ci się ręce palą.

— Czekał ja go... Nie dokończył, gdyż nagle cała okolica wstrząsnęła się od silnego wybuchu.

Niebo rozświetliło się, jakby wszystkie błyskawice uderzyły razem w ziemię.

Żołnierze od siły wybuchu poupadali na trawę. Jeszcze przez chwilę słychać było wybuchy, ale coraz słabsze aż wkońcu wszystko ucichło.

Nagle, wśród ciszy dało się słyszeć wyraźnie warczenie samolotu. Żołnierze porwali się z ziemi i szybko zaczęli ustawiać poprzewracane reflektory. Minęło kilka chwil i w ciemne niebo wytrysły jasne języki światła.

Wybuch, który tak przeraził żołnierzy, spowodował Andrzeja, rzucając kilka bomb na prochnię.

Teraz leciał już zpowrotem, gdy zauważył, że nieprzyjacieli chce go oświecić i zestrzelić. Zwiększył więc szybkość i mknął co sił miał w motorze.

O niczem już nie myślał, tylko o tem, żeby go wróg nie oślepił światłem reflektorów. Wtenczas, straciwszy panowanie, runąłby na ziemię.

W ten sposób szybował przez pewien czas, aż nagle, jakiś reflektor rzucił mu w twarz, cały snop światła. W oczach Andrzejowi zaczęły skakać koła, całe jakby ze srebra. Z bezwładnych rąk wysunął się ster. Samolot straciwszy równowagę, zaczynał spadać! Lecz Andrzej zdążył odzyskać wzrok. Chwycił dźwignię sterową silnie w dłoń i po paru ruchach powrócił maszynie równowagę.

Był więc uratowany.

W szynku panuje zaduch. Poprzez mgłę utworzoną z dymu od papierosów, widać było pełno wojskowych, którzy siedzą przy stolikach albo chodzą w środku sali. Każdy z tych ludzi ma inny humor. Jedni śmieją się na cały głos, drudzy są w poważnym nastroju a inni są całkiem rozczuleni.

Do tych ostatnich należał Jakób Poniewski, który właśnie zwierza się drugiemu towarzyszowi. Wie... wiesz... jaką się, bowiem jak twierdził, język odmówił mu posłuszeństwa — ja tam temu Aaa Andrzejowi... powiedziałem, że jadę na... na ślub mojej siostry... Ale to bujda... Ja właści-

wie miałem trochę strachu, więc mu nagadałem, żeby za mnie leciał... Mam spryt, co? No mów!

„Racja” — przytaknął mu towarzysz, o głosie niepewniejszym niż Jakóba.

W polskim obozie jest właśnie raport poranny. Przed dowódcą stoja, służbowy i Poniewski. Służbowy meldował, że wczoraj w nocy, Andrzej Śmigalski, poleciał samolotem i do teraz nie wrócił. (Zdaleka dochodził głos samolotu, a po chwili na niebie ukazała się także maszyna).

Teraz przyszła kolej na Poniewskiego, który meldował: „Rozkaz wykonałem. Prochownia zburzona.

W międzyczasie widać było jak jakiś samolot wylądował opodal hangaru. Stamtąd też dochodziły krzyki: „Andrzej, wróciłeś!” „Oj, już ciebie kładliśmy do grobu!” „Wiesz? Poniewski wysadził w nocy prochownię! „Teraz melduje to!”.

Gdy te ostatnie słowa Andrzej usłyszał, przybladł mocno. Lecz, po chwili opanował się i całem spokojem zaczął zdemontować kombinezy lotnicze.

Andrzej wracał z hangaru. Po drodze spotkali się z Jakóbem. Spojrzeli sobie w oczy, jednak Jakób nie wyrzynał wzroku przeciwnika Andrzej odezwał się: „Przebaczam ci, lecz koniec naszej przyjaźni”.

Rozeszli się. Andrzej miał w sercu smutek a Jakób zdziwienie.

Przemysław Ozegowski.

II. nagroda.

Ślub lotnika.

(Erjot).

Kochanemu „Nuškowi” poświęcam.

Marjan się spóźnił. Właśnie co dopiero opuszczono pokój jadalny. Obiad więc kazał podać do swego gabinetu. Był w dobrym humorze, więc oczyściwszy się, zasiadł do stołu. Zerwał się jednak, by nastawić radio, złapał Warszawę. Właśnie ulubiony jego piosenkarz Fog wyśpiewywał tango: „Ty albo żadna, ty albo nikt.”

Marjan, w oczekiwaniu obiadu, przechadzał się po pokoju, przyśpiewując sobie swym dźwięcznym, pięknym barytonem.

Po chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich siostra Marjana, urocza, ładna i nadzwyczaj sympatyczna szatynka,

tuż zaś, za nią pocziwa Małgorzata z tacą pełną półmisek. Marjan na widok dymiących potraw ożywił się do tego stopnia, że pobiegł do siostry i dwukrotnie ją czule pocałował, — raz na „Dzień dobry”, — a drugi raz w podziękę za obiad, gdyż głód dokuczał mu bardzo. Od wczesnego bowiem ranka miał dziś ćwiczenia, a mianowicie ćwiczenia w bombardowaniu i eskortowaniu samolotów bombardowych. Z małemi przerwami był w powietrzu sześć godzin.

Już chciał zabrać się do posiłku, gdy siostra położyła mu dłoń na ramieniu i miłym głosem go zapytała:

— W jaki sposób odwdzięczysz mi się, gdy dam ci „coś”? Marjan nie namyślając się długo, ucałował siostrę i porwał ją w wir fox-trotta, którego dźwięki płynęły do nich na falach eteru. A kiedy zaróżowioną i zadowoloną siostrę uwolnił z swoich objęć, ona mu wzamian oddała pachnący, podłużny liścik.

Z przyzwyczajenia przeczytał półgłosem adres:

J.W. Pan Marjan Konstanowicz. Poznań, Św Marcin 3.
nadawca: Krystyna Modrzewska. Toruń.

— Ja już idę, Marysiu! — zawołała siostra, zamykając drzwi.

— Bardzo ci dziękuję, Irenko, za list!

Rozerwał kopertę, Chciał już wyjąć list i czytać, ale się powstrzymał.

— Tak! Wypróbuję raz moją wolę! Nie przeczytam, aż po obiedzie. —

Siadł spiesznie do stołu i zaczął jeść. Miał wyborny apetyt, więc półmiski szybko się opróżniły. Wreszcie skończył i zabrał się do picia kawy. A Warszawa skończywszy południowy koncert, zapowiedziała:

— Hallo! Hallo! Radjo Warszawa i wszystkie rozgłośnie polskie. Nadajemy komunikat Państwowego Instytutu Meteorologicznego. —

Marjan chwycił ołówek i na kartce zaczął notować podawane wiadomości. Wreszcie skończył i odłożył ołówek a kartkę schował do kieszeni. Chciał już przeczytać list ale jeszcze się z sobą przekomarzał:

— Jeszcze nie! Jak długo wytrzymam!

Podszedł do biurka usadowił się przy niem i wziął zeszyt, w którym spisywał swoje wrażenia. Półgłosem zaczął czytać, delektując się każdym wyrazem, każdą nawet sylabą, gdyż to było jego słabością. Lubił swoje dzieła czytać kilka razy i napawać uszy dobrem akcentowaniem, wybornym stylem i melodyjnością, którą umiał świetnie oddawać. Czytał:

— „Rok mija jak jestem w pułku, a już się dorobiłem ciężką pracę stopnia porucznika. Mam też przyjaźń kolegów i ich szacunek, a uznanie moich władz. I ja jestem zadowolony. Powietrze — to mój żywioł. Jam stworzony do wzbijania się... do latania. Na to wskazuje także mój temperament. Jestem cholerykiem i natura moja dość często mnie ponosi, jak dzikiego rumaka. Mnie z tem jednak dobrze. Gdy mi smutno... przykro.... źle, to wsiadam do samolotu i startuję. Tam — w górze jest zaraz inaczej. Troski moje i smutki zostają na ziemi, ja zaś bujam „wesół i szczęśliwy.” Mojej broni nie zamieniłbym na żadną inną. Szczęście moje powiększa Krysia, która niedługo będzie moją na zawsze.....

— No ale zapomniałem na śmierć o liście Krysi. Chciałem tylko na chwilę odłożyć czytanie, by wypróbować moją wolę a tu zupełnie o liście zapomniałem — monologował Marjan, zbliżając się do stołu. Wyjął z koperty różowy pachnący liścik i uśmiechnął się sam do siebie, bo zapach przypomniał mu Krysię. Tak samo pachły jej suknie, płaszczy, ręce, twarz, oczy. Cała była „pachnącym kwiatem” jak ją nieraz nazywał.

Rozwinął list i na pierwszy rzut oka zdziwił się jego krótkością. Zaczął półgłosem mruzczeć:

... Marjanie! Musimy skończyć! Ostatnie czasy były dla mnie brzemienne w wypadki, dużo się u mnie zmieniło. Nie mogę Ciebie wykorzystywać... nie chcę żebyś z mojego powodu miał cierpieć. Ja Ci szczęścia dać nie mogę. Ja sama jestem nieszczęśliwa! Przebacz mi i zapomnij! To mój list ostatni — nie trudź się nadaremno!

Bywaj zdrów drogi.... kochany chłopcze!

Krysia.

— Co to jest? Co to ma znaczyć? — Co się stało? Marjan stał przy stole i błędnym wzrokiem toczył dookoła.

— Czy ja śnię? — Przetarł ręką oczy.... i popatrzył na stół, na którym leżał list.

Uderzyły go słowa „Nie trudź się nadaremno!”

— Tak! — Nie trudź się.... nie trudź się!

— A czem to niby mam się jeszcze trudzić?

Czyż już nie dość tego wszystkiego? —

Usiadł ciężko na krześle i przymknął oczy, bo mu się wszystko w oczach двоило. Przez myśli przelatowały mu pytania: — Dlaczego? — Czemu właśnie teraz? — Co jest powodem? W żaden sposób nie mógł sobie odpowiedzieć. Nie mając odpowiedzi, wił się w walce z samym sobą, ze

swemi myślami, dociekaniem i przypuszczeniami. Ogarniała go rozpacz, żal, wściekłość, potem gorycz i zniechęcenie do życia, aż wreszcie popadł w stan bierny w apatię. Siedział na krześle z zamkniętymi oczyma, nieczuły na nic. Nie słyszał jak sprzątano stół po obiedzie, nie drażniły go trzaski i zaburzenia atmosferyczne w radio, nic zgłoła nie było w stanie wyprowadzić go z jego biernej gnuśności.

Siedział tak może już z półtorej godziny, nic nie robiąc nic nie myśląc, doznał chwilowej ulgi — zapomnienia. Nie wiedział, co mu się stało, nie pamiętał jak długo już tak siedział, ani dlaczego siedział....

Nagle drgnął i zwrócił głowę w kierunku głośnika. Spaeker zapowiadał „komunikat lotniczy”.

„Hallo! Podajemy wiadomości z Państwowego Instytutu Meteorologicznego. Groźny orkan zbliża się do nas od wschodu. Wszystkie linie prowadzące z Warszawy na wschód, muszą być natychmiast zamknięte. Zwracamy wszystkim pilotom uwagę na grożące niebezpieczeństwo. Pomyślne warunki do startu trwać będą jeszcze pół godziny.

W Marjanie odezwała się „żyłka” lotnika. Podbiegł natychmiast do aparatu telefonicznego.

— Hallo! Czy Centrala — Ławica? Proszę mnie natychmiast połączyć z hangarem nr. 3. —

Hallo! kto mówi? Czy sierżant-mechanik Jubas.

Tak! Proszę natychmiast przygotować R. W. D. 10. — „Jaskółkę”. Za pięć minut jestem na lotnisku. — Tak porucznik Konstantowicz! —

Ubrał kominiarkę i wiatrówkę i zbiegł na dół. Wyciągnął z garażu motocykl, który zawsze był gotowy do jazdy, sprawdził zbiornik benzyny i oliwy, zapuścił motor i w biegu wskoczył na siodelko. Uregulował gaz i rwał „osiemdziesiątkę” ulicami miasta. Pędził jak wściekły. Nie zważał na honory oddawane mu przez żołnierzy, na ukłony kolegów i znajomych, tylko pędził i pędził. Nie zważał na sygnał policjantów, — na jakimś skrócie ledwie uniknął zderzenia z tramwajem, — to znów o mały włos przejechałby jakiegoś pana.

Ludzie patrzyli na niego, jak na warata, tylko chłopcy posyłali za nim tęskne i pełne uwielbienia spojrzenia.

Wreszcie Ławica. Ogromna połąć zieleni, na niej nie liczne hangary i budynki. Ostatni wiraż i stanął przed hangarem, przed którym mechanicy zapuszczali motor jego „Jaskółki”. Motocykl oddał jednemu z mechaników, a sam zaczął ubierać się w kombinezon. Z kancelarii zaś pułku biegł do niego oficer służbowy.

— Panie kapitanie — meldował się Marjan — porucznik Konstanowicz startuje do lotu ćwiczebnego. —

— Znasz pan komunikat meteorologiczny?

— Tak jest!

— W porządku!

— „Słuchaj Marjanie” zapytał go, po odbyciu formalności, kapitan służbowy, który był szczerze przywiązany do niego — „Czy nie jest dziś za silny wiatr? Będziesz miał robotę” —

— E, zdaje ci się — odburknął Marjan, który obawiał się by mu jego szef eskadry nie zabronił lotu. A czuł, że lecieć musi, bo potrzebował jakiegoś ruchu... szalu... wylądowania swoich sił fizycznych.

Wsiadł do samolotu i przywiązywał się pasami, kiedy zobaczył śpiesznie biegnącego posłańca ze stacji meteorologicznej.

Poczuł pismo nosem, że mogliby mu wzbronić lotu, więc krzyknął na mechanika:

— Uwaga! Gotowe?

— Gotowe!

— Kontakt!

Zawarczał motor. Dodał gazu i kiwnąwszy rękę na pożegnanie, — ruszył z miejsca.

Spróbował krótkiego startu. Dodał jeszcze gazu i po pięćdziesięciu metrach wzbił się. Okrążył raz lotnisko. Kiedy leciał nad hangarem, widział gromadkę kolegów z oficerem służbowym, którzy rozpaczliwymi znakami chcieli go ściągnąć na ziemię.

Wiedział o co chodziło. Blisko widocznie musiał być orkan i dlatego ostrzegają go. Jemu już wszystko jedno, czy powróci zdrow, czy też już wcale nie wróci. Obecnie czuł tylko potrzebę ogromnego wysiłku fizycznego, a ten mógł znaleźć tylko w walce z żywiołem, orkanem.

Spojrzał na wysokomierz. Wskazywał 2000 metrów. Wzbił się jeszcze wyżej. Dopiero na wysokości 4000 metrów znalazł strefę dogodną do swoich wyczynów. Najpierw więc wiraże. W prawo... w lewo — lot na plecach i znów wiraże. Zwiększył szybkość, do przeszło 200 klm na godzinę i wił się i szalał w powietrzu.

Z jednego wirażu wprowadził samolot w korkociąg. A był mistrzem tej akrobacji.

Zamknął więc gaz i przy ostrym skrócie przechylił aparat zupełnie. Samolot nie znajdując oparcia, runął na dół i wpadł w korkociąg. Marjan upajał się... Lubił tę akrobację z wszystkich najbardziej. Przyjemność mu sprawiała

to ostre smaganie wiatru... ta zawrotna, szalona szybkość z jaką się zbliżał do ziemi...

Teraz dopiero czuł się w swoim żywiole. A taką miał wprawę w wykonaniu tej akrobacji, że gdy nadchodziła chwila wyprowadzenia aparatu z korkociągu, ręce i nogi prawie że mechanicznie wykonywał swoje czynności.

I tym razem, gdy, po sześćciosekundowym kręceniu i spadaniu, samolot znalazł się w pozycji najdogodniejszej do wyprowadzenia z korkociągu, nerwy — te sygnały alarmowe, dał znać mięśniom rąk i nóg, że nadszedł czas ich działania, ale wola Marjana tym razem się sprzeciwiła. Chciał i pragnął jeszcze lecieć.

— Jeszcze raz — szeptały jego spalone wargi. I tak było na każdym punkcie „wyprowadzenia”. Marjan wciąż szeptał:

— I jeszcze raz! — I jeszcze raz! — I jeszcze raz!

A samolot rwał z coraz większą szybkością ku ziemi. Marjan widział jak z każdym ułamkiem sekundy ziemia wzrastała i zbliżała się do niego. Już mógł nawet rozróżnić ludzi na lotnisku, którzy niespokojnie biegali w różne strony. Za chwilę zobaczył pędzące samochody sanitarne. Uśmiechnął się. Wiedział, że pędzą na miejsce niby to jego upadku. — Ale niedoczekanie ich — pomyślał i zaciął się. Spojrzał na wysokościomierz. Wskazywał 800 metrów.

— Już czas! — szepnął samemu sobie. — I za chwilę, gdy samolot znów stanął w punkcie „wyprowadzenia,” błyskawicznie włączył gaz, wyrównał stery i wspaniałą świecą wystrzelił w górę. Dodał gazu i znów rwał pod dość ostrym kątem wzwwyż.

Spojrzał nadół. Wszystko jaby zamarło. Samochody stały w miejscu a wszyscy z zadartymi głowami patrzyli na niego.

Lecz oto inny wypadek zwrócił jego uwagę. Na wysokości 3000 m. podrzucił nim wiatr, jak piłką.

— Acha! — pomyślał Marjan — straż przednia orkanu. Czas zwiewać! Nie! Jeszcze jedną beczkę i jednego „immana” — targował się z samym sobą.

Tylko raz! — usłyszał wewnętrzny głos przyzwolenia. Wykonał szybko i sprawnie.

— A teraz na dół — zakomenderował sam sobie — bo może być gorąco!

Zamknął gaz. Pikował. Samolot ślizgał się, rwąc ku ziemi. Nagle poderwało nim, a wiatr rzucił go w bok, potem do góry, okręcił nim kilka razy i zepchnął go w lej, który się pod nim utworzył.

Marjan nie stracił przytomności. Ujął prawą ręką silniej stery, lewą sięgnął do kieszeni kombinezonu po swój talizman, którym była mała, przez Krysię zrobiona, biała małpka. Potem już dwiema rękami chwycił za stery, nogami wparł się w stery dolne i czekał, aż orkan nie odrzuci go gdzieś whok, w strefę spokojniejszą. — I rzeczywiście samolot ześlizgując się ruchem spiralnym po ścianach powietrznego leja, trafił na jakąś wyrwę i wydostał się z uścisku śmierci.

Marjan zmęczony walką i ustawicznym napięciem nerwów i mięśni — odetchnął.

Włączył natychmiast gaz, wyrównał stery i planując, spuszczał się coraz niżej. Spieszył się bardzo, by nie dogonił go orkan i nie pochwycił raz jeszcze w swój straszny uścisk. Czuł się okropnie zmęczonym. Siłą jednak woli powstrzymywał się od poddania się zmęczeniu, skupiał całą swoją uwagę na przyrządach i sterach. A samolot opuszczając się, zbliżał się coraz bardziej do ziemi. Wreszcie zobaczył lotnisko. Wyraz zadowolenia odbił się na jego twarzy. Nareszcie... nareszcie skończy się ta walka i to napięcie nerwów, wreszcie odpocznie. Okrążył lotnisko i ustawivszy aparat pod wiatr, lądował. Samolot dotknął kołami ziemi i biegł po niej w kierunku hangarów. Przed hangarem nr. 3. Marjan zatrzymał samolot i wyłączył gaz.

Podbiegli do niego i wysadzili go z samolotu koledzy, winszując mu zwycięstwa i szczęśliwego powrotu. A on wyrwał się im i poszedł do przedniej części samolotu, tam gdzie znajduje się serce maszyny — silnik. Ukłękł i głowę oparł o bok samolotu. Obracające się jeszcze śmigło furkotało końcem szala i odwiewało z czoła kosmki wysuwających się z pod kominiarki włosów.

Powstał. Położył rękę na motorze i wyszeptał cichym, wzruszonym głosem:

— Tobie „Jaskółko” przysięgam dożywotnią wierność, z tobą chcę żyć i z tobą też umrzeć. —

I zawarł z „Jaskółką” ślub, godny każdego lotnika.

Józef Rajski.

Popierajcie „Promień”.

Cienie zmarłych.

Nie jest dzisiaj przytulnie w moim pokoiku. Daremnie trzaska ogień na kominie, dziś piosenki mi nie śpiewa wesołej, zdaje mi się, że słyszę tęskne westchnienie a czasem jęk boleści.

Smutno jest w moim pokoiku. Przejmująco smętnie jest i to światło słotnego dnia jesieni, rzeczywiście Dnia Dusz, którego ciężkie mgły chwieją się za oknami, zasłaniając wszelki widok.

Napróżno staram się rozweselić w mej samotności, wspominając komizm wczorajszej przygody, darmo chwytam wesołe powieści, biorę się do pracy: przeszkadza mi lekki szelest, może z pieca się ozwał. — Bynajmniej! To są oni — przychodzą — zdaje się, że słysze ich poważny szept. Dziś nam nie znikniesz, bo ten dzień nasz, nasz!

Przychodzą. Z szarej mgły, tam na dworze, wylaniają się ledwie dostrzegalne, same jak mgła, wnikają przez szyby okien do pokoju, suną cicho ku mnie, otaczają mnie ze wszystkich stron, wypełniają pokój swoim tajemniczym rojeniem się. Tu kontury, cień głowy albo ciała, tam znajomy uśmiech lub spojrzenie o niewyraźnej twarzy, ówdzie pukiel włosów z różą na półwidzialnem obliczem, tu znów sylwetka profilu — gęsta mieszanina eterycznych postaci, niewidzialnych, półwidzialnych, jaśniejszych, mglistych, migocących i zlewających się w nieustannem falowaniu.

I już niektóre zupełnie się wyraźnie rysują. Już rozpoznaję twarz ojca i jest mi tak, jakgdybym widział pełny wąż przekwitający, zapadła twarz, a pod zmarszczonem czołem te troskliwe oczy, pełne wyrzutów dla nieprzyjaznego losu lub wzruszającej rezygnacji. — A jednak nie! Niknie ten obraz z ostatniej trudnej dla niego doby życiowej i widzę go w pełni sił męskich, gdy w jego ciemnych włosach i wąsie nie było jeszcze ani jednej srebrnej nitki, na jego czole żadnej głębszej zmarszczki, a kiedy jego modre, jasne oczy patrzyły jeszcze hardo i z radosną nadzieją życiową. O, jak wesoło płonęły te oczy, gdy po całodziennych trudach, wracając z jakiejś zimowej przejażdżki do nowej ciepłej izdebki, zdejmował zaśnieszony płaszcz, siadał wśród dzieci przy płonącym na kominie ogniu i, kołysząc najmłodszego na łonie, bądź śpiewał mu jakąś zahawną piosenkę ludową albo nam opowiadał bajkę, jak to rybak wyłowił zapieczętowaną butelkę, jak z otwartej butelki wyskoczył grozny, ogromny potwór, jak go śmiały rybak chytrze napowrót do butelki zważył i zamknął prędko korkiem.

Tę powiastkę, którą słyszeliśmy już stokroć razy,

a przecież zawsze słuchaliśmy jej z największym zainteresowaniem, — jak entuzjastycznie płonęły te oczy, gdy później gwarzył o żyżkowych bojach^{*)}, o bitwie pod Domażlicami, o wyjeździe Czechów do Bazylei, gdzie z okien, z poddaszy i dachów z bojaźliwym szeptem pokazywano sobie groźnego, wobec całego świata niezmównego Prokopa^{**)}; w jakim marzycielskim blasku tonęły te oczy, gdy mnie jeszcze później pobudzały do wielkich celów na drodze żywota, którą mi jego fantazja ubierała wszelkimi klejnotami i blaskami, jakie tylko może wymarzyć gorąca miłość ojcowska . . .

Mętnieją, nikną te dawno zgasłe oczy, rozplywa się ten drogi cień, a miast niego widzę twarz mej matki, tę pomarszczoną i stroskaną twarz, z tem pełnem miłości spojrzeniem, z tem dla mnie na świecie jedynem a na wieki wieków straconem spojrzeniem, z tem bystro świecącym a tak wdzięcznie marzycielskiem okiem, które jedynie umiało czytać na dnie mojej duszy, które zmartwione zachmurzało się przy moim smutku, a iskrami szczerej grało radości przy mem szczęściu . . . A teraz spostrzegam w trumnie tę miłą twarz, jak ją widziałem wtedy, gdy sobie szeptał w głębokiej boleści, że tak wzniosłe pięknej nigdy jej nie widziałem. Leżała wtedy bez ruchu, jak w majestacie cichym ta stara, zwiędła twarz, oczy miała zamknięte, jakby w tajemniczym, przepięknym śnie, dokoła ust tkwiło coś podobnego do delikatnego, zwycięskiego uśmiechu, osobliwe światło migotało na niej i zmarszczki jej były ręką śmierci jakby wygładzone, a ten siwy, lekko falisty włos dokoła zastygłego czoła wyglądał jak diadem królewski. Zdawało się, jakby z pocuciem cichej, zwycięskiej wyniosłości schodziła z placu boju tego świata, gdzie przeżyła tyle macierzyńskiej radości i cierpienia . . . A w fałdach swej śmiertelnej odzieży zabierała z sobą moje najśłodsze chwile, resztę mojego szczęścia, moje następne jeszcze jasne zorze i pachnące kwiaty życia . . .

Zanika i drugi światłocień. Widzę siostrę z przemilem dzieckiem na ręku, płonąca szczęściem przy boku małżonka, widzę drugą siostrę, cichą, marzycielską gołębicę, uleciałą na zawsze z szorstkiego świata, widzę delikatnie zadumaną, miłą, młodzieńczą twarz młodszego brata, widzę oblicza krewnych, połączone z najpiękniejszymi wspomnieniami mojego

*) Jan iżka z Trocnowa, dowódca wojsk czeskich, brał udział w bitwie pod Grunwaldem, co Matejko uwiecznił na swoim obrazie, podając Żiżkę jako pieszego bojownika, w pancerzu z podniesionym mieczem, co uwidocznione na pierwszym planie tego obrazu. (Przyp. tłum.).

**) Proskop zwany Łysy był następcą Żiżki. Wohec tego, że wojska nie mogły się zdobyć na orężną przewagę, zaproszono Czechów celem układow do Bazylei, a poselstwo to sam Prokop prowadził. (Przyp. tłum.).

dzieciństwa, widzę piękne postacie dziewcząt, które zamajaczyły jak nimfy w czarodziejskim sadzie mej młodości, widzę twarze drogiej przyjaciół.

Gdzie się podziały naraz te wszystkie cienie? — Pusto jest w moim odosobnionym pokoiku, ogień trzaska na kominie z cichym westchnieniem i jękiem, na dworze gęstnieje szara mgła pochmurnego dnia jesieni...

Gdzie podziałyście się wy drogie postacie? Gdzie bawicie? Czy w nieskończoności wiecznej tajemnicy? Czy tylko w moich wspomnieniach?

Z czeskiego przetłumaczył

Marjan Szwaba.

Za zgodność treści tłumaczenia
polskiego z czeskim oryginałem

J. A. MAXIMOWICZ.

Życie organizacyjne

T. T. Z.

Dnia 30. IX. b. r. o godz. 15-tej odbyło się Zebranie Ideowe. Po załatwieniu formalności rozdano tematy referatów na przyszłe Zebranie Ideowe. Mianowicie referat p. t. „Sport i wychowanie fizyczne w kształtowaniu kultury i obyczajów współczesnych”. — Kol. Stawowy.

„Wartość naukowa i wychowawcza krajoznawstwa”. — Kol. Serwański.

„Czyn a życie młodzieży”. Kol. Jakubowski.

Po odczytaniu programów pracy poszczególnych K. N. przystąpiono do wyboru Kier. K. N. klasycznych. Większością głosów został wybrany kol. Krupa (VII).

W sprawie „Pożyczki Narodowej” dostał ostatecznie Zarząd „Promienia” pełnomocnictwo subskrybowania „Pożyczki Narodowej” lub nie. W dalszym ciągu uchwalono, że członkowie T. T. Z-tu płacą składkę członkowską 50 gr. Suma ta obejmuje składkę zwykłą 20 gr — 30 gr. za „Promień”. W końcu kol. Prezes zachęcał kol. do udziału w uroczystości T. T. Z-tu w Gnieźnie.

Na tem zebranie trwające 1 i pół godz. zamknięto przy obecności p. prof. Kuratora i 28 proc. członków.

Dnia 14. X. b. r. o godz. 17-tej odbyło się Nadzw. Walne Zebranie T. T. Z. połączone z Zebraniem Ideowym. Kol. Prezes odczytał sprawozdanie z zjazdu w Gnieźnie. Następnie kol. Stawowy wygłosił referat p. t. „Sport i wychowanie fizyczne w kształtowaniu kultury i obyczajów współczesnych”. Dyskusja na ten temat toczyła się ożywiona, lecz stała na niskim poziomie. Dalej kol. Serwański odczytał swoje sprawozdanie z działalności prezesa T. T. Z-tu. Na wniosek Kom. Rew. udzielono kol. Serwańskiemu absolutorium przez aklamację. Nowe dwukrotne wybory nie dały wyniku. Wobec tego p. prof. Kurator rozwiązał N. W. Z. polecając Zarządowi. rozpatrzyć sprawę kandydatury i jaknajprędzej zwołać N. W. Z. Na tem Zebranie

nie, trwające 1 i pół godz. zamknięto przy obecności p. prof. Kuratora, p. Dyrektora i 51 proc. członków.

Dokończenie tego N. W. Z. odbyło się w czwartek, 25. X. 1933 r. Prezesem wybrano większością głosów kol. Pieczyńskiego (VII). Na tem Zebraniu także powzięto następujące uchwały:

Członek T. T. Z-tu zostaje wydalony z T. T. Z-tu po:

Trzykrotnem nieusprawiedliwieniu opuszczenia Zebrania K. N.

Zehrania Ideowego

„ niezapłaceniu składki członkowskiej.

Sprawozdanie z zebrania K. N. Historycznych.

Dnia 13. X. 33 r. odbyło się pierwsze dyskusyjne zebranie Koła Nauk Historycznych. Po sprawdzeniu obecności członków i przeczytaniu sprawozdania z ostatniego zebrania, przystąpiono do referatu kol. abilit. Zhorowskiego p. t. „Hasła rewolucji francuskiej, które stały się zdobyczą całej Europy”. Kol. referent dość wyczerpująco przedstawił nam hasła, jakie pojawiły się w literaturze francuskiej względnie niemieckiej. Następnie przedstawił samą rewolucję i jej wpływ na inne państwa. (Polska, Anglia, Włochy Hiszpania i i.)

Dyskusja na powyższym referatem słabo się rozwinęła.

W dziale nowości politycznych omówił kol. Kierownik sprawę wystąpienia Niemiec z Ligi Narodów, kwestji rozbrojeniowej obecnego stosunku Polski do Litwy oraz ogólnego stanowiska Polski, jakie się (teraz) obecnie wytworzyło.

W wolnych głosach kol. kierownik poruszył sprawę zbierania artykułów o treści związanych z historią do teczki oraz sprawę (obchodu) uroczystości ku czci obchodu 11-go listopada, rocznicy odzyskania niepodległości.

Referat na powyższą uroczystość podjął się opracować kol. Kierownik.

Na tem zamknięto zebranie trwające 1 godz. Obecnych było 50 proc. oraz 7 gości.

Sprawozdanie

II-giej druż. harc. im. H. Dąbrowskiego.

Tego roku szkolnego drużyna zabrała się zaraz z początkiem do intensywniej pracy. Drużyna została podzielona na 4 zastępy. W skład zaś I-go i II-go zastępu wchodzi wywiadowcy, w skład zaś III-go i IV-go młodzicy. Program drużyny na oba te miesiące został prawie w całości wykonany. 3 druhów odbyło próbę na stopień młodzika z wynikiem dodatnim, oraz rozpoczęło próbę na stopień wywiadowcy. W końcu września odbyły się zawody między zastępami o mistrzostwo w koszykówce i siatkówce, w których I miejsce w koszykówce zdołał zastęp IV, w siatkówce zaś zastęp I. W dniu 5. X. hr. był obecny na odprawie drużyny dh. hm. Zajda. R. D. zbierało się bardzo często, pracując nad mającą się odbyć w grudniu b. r. uroczystością 15-lecia, wraz z którą związane ma być poświęcenie szlanki.

Kółko Eucharystyczno-misyjne.

Dnia 26. X. 33 r. o godzinie 5-tej odbyło się drugie z kolei zebranie kółka Eucharystyczno-misyjnego. Po odczytaniu sprawozdania ostatniego zebrania kol. Przewodniczący odczytał referat p. t. „Potęga Eucharystji”. Dyskusja nad powyższym referatem b. słabo się rozwinęła. Następnie kol. Prezes odczytał ustęp z cyklu misyjnego p. t. „O zawodzie misjonarza”. W wolnych głosach kol. Przewodniczący poruszył sprawę składek, a następ-

nie zamknął zehranie trwające 40 minut hasłem i modlitwą. Na zebraniu było obecnych 9-ciu, nieobecnych 2.

Ogólna punktacja

Międzygimnazjalnych Jubileuszowych Zawodów Sportowych z okazji 25-lecia istnienia G. K. S. „Venetia” w Ostrowie w dniach 6, 7 i 8 października 1933 r.

I. Gimn. K. Sport. „Venetia”	Ostrów	121	pkt.
II Gimnazjum im. Sułkowskich	Rydzyzna	118 ^{1/2}	„
III. Międzyszkolny Klub Sportowy	Kalisz	113 ^{1/2}	„
IV. Reprezentacja Państw. Gimnazjum Męsk.	Wolsztyn	76	„
V. Reprezentacja Państw. Gimnazjum Męsk.	Krotoszyn	57	„
VI. Gimnazjum im. J. Paderewskiego	Poznań	42	„
VII. Państwowe Seminarjum Nauczycielskie	Ostrzeszów	41	„
VIII. Gimnazjalne Koło Sportowe	Kościan	30	„
IX. Gimnazjalna Drużyna Sportowa	Śrem	30	„
X. Semin. Klub Sport „Orzeł”	Wągrowiec	30	„
XI. Reprezentacja Państw. Gimnazjum Męsk.	Pleszów	26	„
XII. Gimnazjalny Klub Sportowy	Września	10	„

Skrzynka pocztowa

pod redakcją O'Harri'ego

Kol. „Yo - Yo” — Zagadnienie egoizmu i altruizmu jest bardzo ciekawe. Radziłbym Kol. napisać o tem artykuł do „Promienia”. Czekamy. —

Kol. „Maks” — Nie można być naiwnym.

Kol. „Sen” — Seweryn Goszczyński, żołnierz 1831 r. poeta i miłośnik ludu, autor „Zamku Kaniowskiego” i „Króla Zameczyska”. Ur. 1803 r., um. 1876 r.

Kol. „Alfonks” — I to będzie. Proszę czekać cierpliwie.

Kol. „Inka” — Można, lecz trzeba trochę więcej zainteresowania i dużej „porcji” cierpliwości.

Kol. „Biniu” — Wstapcie do filmu. Macie już twarz, odpowiadającą w zupełności wymogom zoologicznym.

Kol. „Tse - Tse” — Proszę się zastanowić najpierw, jaka jest różnica między kradzieżą, a pożyczaniem na „wieczne oddanie”.

Kol. „Ramera” — Jeszcze Kol. z tych głupstw nie wyrósł? Dobrze!

Kol. „Leo” — Taki srogi pseudonim i takie „żarłoczne” pytanie. — Najlepiej przekonać się samemu. Życzę powodzenia!

Kol. „Heppner” — Jesteście „liczykrupa”.

Uwaga! Proszę bardzo wszystkich Kolegów o nadsyłanie jaknajliczniejszych pytań. Sądze, że jest wiele kwestyj niejasnych, w których „Skrzynka Pocztaowa” może przyjść z pomocą.

Konkurs L. O. P. P - u.

Ostateczny wynik konkursu L. O. P. P.-u przedstawia się jak następuje: Z pomiędzy uczestników konkursu I. nagrodę otrzymał kol. Ożegowski (godło: „Nemo”) za nowelkę p. t.: „Nocny lot”.

II. nagrodę kol. Rajski (godło „Erjot”) za nowelkę p. t.: „Ślub lotnika”.

(Rozdanie nagród nastąpiło 6 XI. na miesięcznym zebraniu L. O. P. P.-u)

Poza tem na wyróżnienie zasługuje nowelka kol. Wentzla (godło „P.Z.L. 1”) p. t.: „Eskadra śmierci” i nowelka kol. Serwańskiego (godło „Edis”) p. t.: „Szaleńcy”.

Wszystkie trzy nowelki zostaną wydrukowane w „Promieniu”. Zarząd L. O. P. P. składa na tem miejscu serdeczne podziękowanie p. prof. dr. Jachimkowi za bezinteresowne podjęcie się trudu sędziowania, a wszystkim uczestnikom za zainteresowanie i wzięcie udziału w konkursie.

Za Zarząd

A. BARTOSZKIEWICZ

prezes.

Dział Rozrywek umysłowych

pod redakcją Lagardera

Dobre rozwiązania z ostatniego nr. „Promienia” nadesłali następujący koledzy, uzyskując 14 punktów. Mirza-Bej, Be-Wu (nagrada) Szaradziasz, Pietrek Malkiewicz, Bogdan Idzior, Kazimierz Woschke, Grzela, Sel-Boław, Kolenda Lu-

dwik. Częściowe Ed-Dy (8 punktów). Obecna punktacja przedstawia się następująco:

- 1) Mirza-Bej 27 punktów.
- 2) Pietrek Malkiewicz 27 punktów.
- 3) Bogdan Idzior 27 punktów.
- 4) Be-Wu 23 punkty.
- 5) Kazimierz Woschke 23 punkty.
- 6) Sel-Boław 23 punkty.
- 7) Szaradziarz 21 punktów.
- 8) Grzela 14 punktów.
- 9) Kolenda Ludwik 14 punktów.
- 10) Ed-Dy 8 punktów.

Rozwiązania przyjmuje się do 20 listopada.

Łamigłówka. (6 punktów.)

ul. Be-Wu.

W miejsce kropek wpisać po dwa równobrzmiące wyrazy:

- 1) ma kolce, żeby, jej nie zrywała.
- 2) Jakie ładne, powiedz bez
- 3) Nikomu nie brak, gdy każdy się
- 4) Matka dziś drze . . ., bo jutro
- 5) Naszą, można w szeregi

Łamigłówka. (5 punktów)

ul. Grzela

Re Leonard Rapacki

„Długa ławka Cesi.“

Z podanego nazwiska i tytułu utworzyć imię i nazwisko, oraz tytuł powieści autora „Przekłętego szczęścia“.

Rozsypanka. (5 punktów)

ul. Be-Wu.

Z podanych 15 wyrazów wyjąć z każdego po jednej sylabie, które dadzą rozwiązanie:

Wyrazy: Widokówka, Wiktorja, zbroja, machina, zamek, Austrija, kompozytor, wino, dola, urwis, kasiarz, król, mięso, bieda, wąski.

U W A G A !

Czytelnia jest otwarta dla wszystkich uczniów zakładu w każdą środę od godziny 5-tej. Uprasza się kolegów o liczne uczęszczanie do Czytelni!

Wkrótce zostanie ogłoszony trzeci i ostatni konkurs L. O. P. P. Bliższe szczegóły w szafce L. O. P. P. na parterze.

Gromada Starszych Harcerzy wydała „Jednodniówkę” z okazji 20-lecia pracy harcerskiej ks. prof. harcm. Lecha Ziemskiego. Nabyć ją można u kol. Serwańskiego Edwarda (kl. VIII)

Recenzja z Akademji ku czci Jana III Sobieskiego ukaże się w przyszłym numerze.

Z powodu braku miejsca nie możemy pozostałych artykułów umieścić w obecnym numerze.

REDAKCJA.

T R E Ś Ć nr. III.

1. Listopad. 2. Prace jednostki a społeczeństwo. 3. Historia muzyki polskiej. 4. Kącik Harcerski: „Siwemu Sokolowi”, Słuchajcie, Sokole, Akcja letnia druż. harc. im. T. Zana, Druż. im. T. Zana, Słuchajcie. 5. Kącik poetów: Warcholstwo, Mój wróg, Skarga. 6. Kącik nowelistów: Nocny lot, Ślub lotnika, Cienie zmarłych. 7. Życie organizacyjne. 8. Skrzynka pocztowa. 9. Konkurs L. O. P. P. - u. 10. Dział rozrywek umysłowych. 11. Uwagi.

Czcionkami i drukiem „Drukarni Powszechnej”
J. Bąk & R. Górski w Ostrowie, ul. Kaliska 31a.